

**Krzysztof Łoziński**

# **Filar**



**Opowiadanie**

Wydanie pierwsze  
Studio Opinii 2023  
Copyright by Krzysztof Łoziński 2023

### **Zdjęcie na okładce:**

Kongderi z Namche Bazaar. Po lewej Kongderi Shar (niższy wierzchołek 6093 m), dalej Kongderi Lho (główny wierzchołek, 6187 m), i Teng Kang Poche (6500 m). Fot. Krzysztof Łoziński.

# Filar

## **Lukla**

Pilot Ang Nima Sherpa wygląda bardzo młodo, ale mówi, że ma 35 lat. Upycha mój plecak na tylnych siedzeniach Cesny. Małej, czteroosobowej Cesny. Ten lot to fart. Wszystkie normalne loty do Lukli są dawno wysprzedane, dla mnie miejsca nie ma, ale właśnie zjawił się Ang Nima, który leci do Lukli po chorego, ale bogatego gościa i ma wolne miejsce.

Targujemy się o cenę. Wiem, że ten gość ma zapłacone loty w tę i z powrotem i to dla niego ekstra zarobek, a ja muszę oszczędzać. Wydałem już 120 dolarów na lot z Delhi do Katmandu i miałem dalej iść „dołem”, czyli autobusem do Jiri i z Jiri przez góry z jednym tragarzem, albo i bez, ale nie dało się. Maoistowska partyzantka trochę się rozbuchwała. Ang Dawa, zaprzyjaźniony z Polakami agent w Katmandu odradza. Od dużych grup zbierają tylko „bilety na rewolucję”. Co głupszy turyści nawet się takimi biletami chwala. Ale samotnego wędrowca mogą zabić i obrabować. Lecę więc do Lukli samolotem. Ang Nima Sherpa trochę odpuszcza z ceny i lecimy.

Po starcie z Katmandu widzę, że jest sporo chmur, ale pilot zupełnie się tym nie przejmuje. Lecimy wzdłuż doliny nad Lamosangu i Cherikot. W okolicy Jiri zaczynamy mocno się wznosić. Trzeba przeskoczyć nad Lamjura Pas, przełęcz na wysokości 3600 m. Wlatujemy w chmurę. Białe mleko, nic nie widać. Samoloty latają na przyrządy bez widoczności, ale nie w górach!

- Are you sure? Are don't a fear? We are flying between the montains!  
(Jesteś pewien? Nie boisz się? Lecimy między górami!).

- I know where its are. (Wiem, gdzie one są).



Rolwaling Himal z lotu do Lukli. Fot. Krzysztof Łoziński

I jego i mój angielski dalekie są od perfekcji, ale w Nepalu nikt się tym nie przejmuje. Ja chyba mam pietra, ale udaję, że nie. Ten pilot to niezły wariat, myślę, ale co ja zrobię, przecież nie wysiądę.

Facet jest maksymalnie skupiony i nagle mówi:

- Now! (Teraz!)

I ostro skręca. Wylatujemy z chmur. Czuję, że się spociłem. Ale jest już normalnie.

Podchodzimy do lądowania w Lukli. Robimy obniżający się krąg pod Takkamirgo (taki sobie pięciotysięcznik) i schodzimy w dolinę nieco poniżej początku pasa. Teraz w górę wytracamy prędkość i na granicy przeciągnięcia dotykamy pasa. Rzecz polega na tym, że na tej wysokości (2850 m) samolot musi podchodzić do lądowania z dużą prędkością, by utrzymać się w rozrzedzonym powietrzu. Ciśnienie powietrza na tej wysokości jest o ok. 30 procent mniejsze od normalnego (połowa ciśnienia jest na 4650 m).

A pas jest dramatycznie krótki i w dodatku pod górę.

Lotnisko w Lukli jest uważane za najniebezpieczniejsze lotnisko świata. Leży na wielkiej pochyłej półce, kilkaset metrów powyżej dna głębokiej doliny, między pięciotysięcznikiem (ok. 5500 m) Takkamirgo a sześciotysięcznikiem Kusum Kang. Samolot musi zmieścić się w ciasnej dolinie ze wszystkimi manewrami i wylądować na niespełna 400 metrowym pasie, w dodatku pochyłym.



Podejście do lądowania w Lukli widziane z samolotu. Fot. Piotr Juszcak.

Gdy byłem tu w 1987 roku, pas był trawiasty i gdy nic nie lądowało pasły się na nim jaki. Po bokach leżały wraki rozbitych samolotów, a na dnie doliny kolejne.

Lotnisko w Lukli jest już lepsze niż wtedy, gdy tu byłem ostatnio. Pas jest asfaltowy, jaki się na nim nie pasą, ale pas nadal jest krótki i pod górę. Ostro hamujemy i stajemy jakieś 20 metrów od końca. Pas kończy się pod skalną ścianą Kusum Kang.



Pas startowy w Lukli. Fot. Piotr Juszcak.

Nocuję w Lukli. Niby nie muszę, ale w krótkim czasie przeskoczyłem z 1400 m (Katmandu) na 2850 (Lukla). Rano wyruszam do Namche, na 3440 m. Idę wolno, prawie powłóczę nogami. Wprawdzie bywałem w życiu na paru siedmiotysięcznikach, ale i tak ten nagły skok wysokościowy odczuwam.

I na tej trasie są nowości. Nad kanionem przed Namche Bazaar jest nowy wiszący most. Długi i bardzo wysoko. Nie trzeba już dymać prawie 500 metrów w górę ścieżką zygzakującą po niemal pionowym zboczu. To duża oszczędność sił.



Most wiszący nad kanionem przed Namche Bazaar. Fot. Piotr Juszcak.

## Zamiar

Co ja tu robię, po co tu jestem? Życie mi się zresetowało. Rozstałem się z partnerką, z którą żyłem 15 lat. Nie byliśmy małżeństwem, więc rozwodzić się nie trzeba. Wyszedłem z tym co miałem na sobie i w kieszeniach. Zostałem jej wszystko. Później rozpadł się kolejny, zaledwie dwuletni związek. Zostałem sam, bez żadnego praktycznie majątku, w dodatku bez pracy, bo rozstałem się także z redakcją „Wprost”. Miałem z panami Janeckim i Gabrielem konflikt podstawowy. Nie chciałem pisać „po wprostowemu”, czyli sensacyjnie, efektownie, a nie koniecznie zgodnie z prawdą.

Jednym słowem, w wieku ponad 50 lat byłem znów na starcie.

Co ma zrobić mężczyzna, gdy straci kobietę, a nawet dwie, straci pracę, mieszkanie? Oczywiście można sięść i płakać, ale można się odbić. Na początek psychicznie. Czyli zdobyć górę! Może wydawać się to dziwne, ale to jest coś co stawia na nogi.

Himalaje mają taką cechę, że wszystko tu wydaje się małe. Nie tylko inne góry, ale i odległe o siedem tysięcy kilometrów polskie życie. Tu jest śnieg, słońce i góry. Nie ma rodzinnych kłótni i redaktora Janeckiego. Oczywiście trzeba trochę być wariatem by zainwestować w to wszystkie pieniądze zarobione na okazjonalnej pracy wysokościowej, ale ile warte by było życie bez odrobiny szaleństwa?



Namche Bazaar. W tle Kogderi i Teng Kang Poche. Fot. Piotr Juszcak.

Siedzę dwa dni w Namche Bazaar, oswajam się z wysokością i oglądam góry. Naprzeciw wspaniała panorama Tamserku i Kantengi, a w drugą stronę mój cel: Kongderi i jego wschodni filar.

Jedną z pierwszych gór, jakie się widzi przybywając do Namche Bazaar, jest Kongderi (6187 m), z którego opada na wschód wielki, wyraźny, filar. Zwyczajowo (słyszałem to już kilka razy) nazywany jest Filarem Japońskim, ale nie znalazłem w literaturze żadnej wzmianki, by jacykolwiek Japończycy mieli z nim cokolwiek wspólnego. W ogóle nie znalazłem żadnej wzmianki, by był kiedykolwiek przechodzony. Ale kogo z alpinistów w Namche bym nie spytał, to niemal każdy powie: „Filar Japoński, V+ na sześciu tysiącach”. Ale w literaturze znaleźć można tylko idącą w pobliżu i ścianą drogę niemiecką. Poważną trudną drogę. Jest też wzmianka w „Taterniku” o polskiej wyprawie mającej zamiar poprowadzić nową trudną drogę północną ścianą, ale nie ma informacji, czym ten zamiar się skończył. I że wie coś o tym Bogdan Stefko. Są też znacznie łatwiejsze drogi, ale z drugiej strony, od strony Rollwalingu.



Od lewej: Pimu, Kongderi (oba wierzchołki 6093 i 6187 m), Teng Kang Poche (6500 m) i Tangi Rangi Tau (6730 m). Fot. z archiwum autora.

Mam jednak pewną teorię, dlaczego wśród polskich alpinistów wciąż krąży ta nazwa „Filar Japoński”. Gdy wpisałem w wyszukiwarkę Google hasło: Kongderi filar japoński, pojawił się taki tekst:

[„Taternik 4 1976 - Polski Związek Alpinizmu](#)

<http://pza.org.pl> › [download](#) › [taternik](#)

PDF

była Kwangde (Kongde Ri 6187 m). Trudności ... piękny południowo-wschodni filar. Już pier ... ces japoński: trawersowanie dwumilowej gra.”

No pięknie, tylko gdy wczytałem się w tekst, to jest tam w omówieniu sezonu w Himalajach, najpierw wzmianka, że 17 października 1976 roku Kumar Khandga Bikram na czele nepalskiej wyprawy zdobył szczyt Kwangde, inaczej Kongderi 6187 m. Później długo, długo nic i na innej stronie padają słowa „piękny południowo-wschodni filar”, ale mowa tu o filarze Nanga Parbat, a zaraz po tym „już pierwszy sukces japoński: trawersowanie dwumilowej grani...” tylko jeszcze zupełnie innej góry.

W dodatku z tekstu wynika, że wyprawa Kumara zdobyła niższy wierzchołek, Kongderi Shar, a nie główny.

Można jednak odnieść wrażenie, że Kongderi ma „piękny południowo-wschodni Filar Japoński”. Tylko, że jest to złudzenie wyprodukowane przez Google. No i Filar Kongderi nie jest południowo-wschodni, tylko wschodni. Tak powstają mity. Ale skąd się wziął mit Filara Japońskiego w latach 80-tych, gdy jeszcze nie było Google? A czort jeden wie.

Tu muszę zrobić pewną uwagę. To przejście było prawie 25 lat temu. Internet nie był jeszcze taki jak dziś. Dziś przecież wszystko można „wygooglać”, ale nie wtedy. No i przyznam, nie sprawdzałem w wydanych później przewodnikach (np. Janusz Kurczaba). Mój stan wiedzy wówczas był taki, jaki opisuję. Dziś Internet jest jak bóg, jest wszędzie i wie wszystko. Ale nie wtedy. A więc wymyśliłem sobie, że przejdę ten filar, a kwestię tego, czy był już przechodny pozostawiam otwartą, choć dziwne by było, gdyby tak wybitnej formacji nikt nie próbował.

Dlaczego to? Bo jest to piękna i wybitna formacja. Bo nie wygląda na szalenie trudną. Bo jest na trekkingowej górze (nie trzeba dużo płacić, rejestrować wyprawy i otrzymywać pozwolenia). Oczywiście wiem, że V+ na wysokości 6200 m to nie to samo, co V+ w Tatrach. Oczywiście wiem, że nawet jeśli jest już tam droga, to nie wiem gdzie i muszę sobie wytyczyć trasę sam.

A dlaczego nie coś ambitniejszego? Przecież wokół są ogromne góry i ogromne ściany, z Everestem włącznie? Dlatego, że mam ponad 50 lat i może jestem wariat, ale nie idiota. To, że mam się wspinać colo w stylu „nago i bez snu” jest już wystarczającym wariactwem.

### **Dobrze przemyślane szaleństwo**

Styl „nago i bez snu” polega na tym, że bierze się minimum sprzętu, minimalną ilość żywności, dosłownie „dwie czekolady w kieszeń” i idzie dzień i noc bez przerwy do końca. Pozornie to szaleństwo, wariactwo. Ale to jest dokładnie zaplanowane i przemyślane szaleństwo.

Ten styl nie oznacza do końca wspinaczki bez asekuracji, choć głównie idzie się „na żywca”, czyli bez asekuracji. Mimo to muszę być tak zorganizowany, by w każdej chwili móc się przyasekurować.

W tym wypadku mam na sobie uprząż i nieco sprzętu. Mam też dwie „gielgaczki”, którymi mogę się przypiąć do kostki, frienda lub haka. Mam kask i linę do zjazdu, tyle że w plecaku. Dzięki tej linie zawsze mam możliwość wycofania się.



Całe wyposażenie musi być lekkie, maksymalnie lekkie, zwłaszcza że na dużej wysokości każdy kilogram zamiana się w dwa lub więcej. Nie zamienia się dosłownie, tylko tak się go czuje.

Przygotowanie do takiej drogi to szukanie kompromisu między szybkością i bezpieczeństwem. Jeśli wezmę więcej sprzętu, to będę bezpieczniejszy, ale będę miał większy ciężar, a więc większy wysiłek.

Będę wspinał się wolniej i będę bardziej zmęczony. Wolniej i z większym wysiłkiem to znaczy bardziej niebezpiecznie. Ale szybciej i z mniejszą ilością sprzętu to też niebezpieczne, tylko inaczej. Które niebezpieczeństwo wybrać? Ryzyko wyczerpania sił, czy ryzyko odpadnięcia?

Sprzęt przygotowywałem przed wyjazdem. Miałem z tym poważny kłopot, bo wychodząc od wieloletniej partnerki zostawiłem cały swój sprzęt alpinistyczny. Po roku co nieco odzyskałem, ale nie wszystko. Na przykład do dziś (minęło sporo lat) nie odzyskałem liny. Sporą część musiałem niestety kupić, a to nie są tanie zabawki.

Zaczynam od liny. Musze przewidywać, że w zejściu będę musiał zjeżdżać na linie. Wprawdzie z Kongderi jest jakieś łatwiejsze zejście na stonę Rollwalingu, ale go nie znam, a schodzenie ze szczytu nieznanym terenem może się bardzo źle skończyć. Można, jak to się mówi, ostro się zdziwić. Na przykład, po zejściu tysiąc metrów okazuje się, że dalej tędy zejść się nie da. No i chciał, nie chciał, musiał, trzeba z powrotem dymać do góry tysiąc metrów i szukać innego zejścia. Na sześciu tysiącach to nie spacerek. A więc lina do zjazdu jest konieczna.

Założyłem od razu, że nie będę się asekurował za pomocą liny. Wystarczy więc zjazdówka, linka 6 mm. Wybrałem linkę kewlarowo-nylonową 5 mm i nie 80, tylko 100 m. Jest dosyć lekka i wystarczająco wytrzymała, choć ta cienizna wygląda dość horrorystycznie. Taki sznurek grubości ołówka. Według atestu ma wytrzymałość ok 300 kg. Tyle nie ważę, a producenci lin zwykle podają wytrzymałość mniejszą od rzeczywistej, by nie mieć kłopotów.

Zabieram trzy małe kostki, trzy friendly, siedem tytanowych haków i pięć tytanowych śrób lodowych. Tytan jest bardzo lekki i wytrzymały. Cały ten komplet waży mniej niż 2 kg. Jest mi to wszystko potrzebne do dwóch rzeczy. Do asekuracji systemem „rzep” i do zostawiania przy zjazdach.

„Rzep” to jeden ze sposobów asekuracji na solówkach, nie wymagający liny. Polega na tym, że stale jestem przypięty do 2 lub 3 punktów. Na przykład: wbijam hak nad sobą i przypinam się do niego „giełgaczką”. Unoszę się o półtora metra wyżej, mocuję następny punkt i odpinam się od dolnego punktu. To mozolna i powolna metoda, ale zamierzam stosować ją w ostateczności, gdybym napotkał wyjątkowo duże trudności. Tak duże, że wspinanie „na żywca” byłoby zbyt ryzykowne. Generalnie zamierzam wspinać się bez asekuracji, ale muszę być

przygotowany na niespodzianki, bo na prawdę nie wiem, co napotkam. Wzmianek napotkanych przypadkowo alpinistów, w stylu „to Filar Japoński, V+ na końcu”, nie mogę poważnie traktować. Wszak już wiem, że ta „japońskość” tej drogi jest nader wątpliwa, a wycena trudności nie wiadomo skąd pochodzi. Może z nikąd. Może ktoś coś takiego palnął ot tak, a inni bezmyślnie powtarzają.

Haki są mi też potrzebne do zjazdów, bo stanowisko zjazdowe z czegoś trzeba założyć.

Ostatnie decyzje co do sprzętu mam podjąć pod ścianą.

### **Aklimatyzacja**

Przyjmuje się, że aklimatyzacja do dużych wysokości trwa ok. 6 tygodni. Ale z tym jest różnie. Może w przypadku siedmio- i ośmiotysięczników to prawda, ale aklimatyzacja do wejścia na sześciotysięcznik tyle nie trwa. Niemniej jednak ominąć się jej nie da. Muszę trochę połązić po okolicy, parę razy wejść wyżej, na pięć tysięcy i więcej.

Wyruszam do Gokyo, na 4750 m. Postanawiam, nieco masochistycznie, iść z całym swoim ładunkiem, z ciężkim plecakiem. Oczywiście mogłem zostawić część rzeczy w Namche, ale tu chodzi nie tylko o aklimatyzację, ale i o kondycję. Oczywiście w czasie aklimatyzacji cały niemal sprzęt alpinistyczny, poza czekanem i rakami jest mi niepotrzebny. Trudno, idę z 20 kilogramowym worem. Krew, pot i łzy, ale by odnieść sukces przeba najpierw dostać w dupę.



Ścieżka nad Namche Bazaar. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ścieżka z Namche od razu ostro wznosi się w górę. Ciężki oddech, od razu podejście na 3800. Mocno czuje wysokość i ciężar wora. Pierwszy nocleg w Portse Tenga. Troszkę niżej – 3680 m. Na lekko i po aklimatyzacji można tu dojść w jakieś dwie – trzy godziny. Ale nie tym razem.



Portse Tenga. Fot. Krzysztof Łoziński.

Z aklimatyzacją tak już jest, że można było wcześniej, w innych latach być dużo wyżej, no i co z tego. Zawsze trzeba zdobywać przystosowanie do wysokości od nowa. Gdy kilkanaście lat później poleciałem z Limy (poziom morza, stolica Peru jest portem nad Pacyfikiem) do Cusco, na 3400 (lotnisko) do miasta (od 3500 do 4000 m), to nic mi nie pomogło, że byłem wcześniej na 7780 m. Łazłem jak zdechły karaluch, nogi mi się ugiwały, serce waliło i do względnej formy doszedłem po trzech dniach. A najbardziej mnie wkurzali Indianie, którzy na czterech tysiącach grali w piłkę i nawet im nie przeszkadzało, że boisko było trochę pod górę. Tu jest podobnie. Ja ledwo leżę, a mija mnie Sherpa z ciężkim ładunkiem i pali papierosa.

Rano znów ostro w górę. Mała przelęczka z czortenem. Jakież 3900? Zaczyna się śnieg. Nie jest go dużo, ale idzie się trudniej. Wieczorem jestem w Dole. Duży Sherpa Lodge, wygodne spanie, choć na zbiorówce, „jak stek”, piwo po morderczej cenie (jedna butelka w cenie skrzynki).

Znów ranek i mroźna „lampa” (czyli piękna pogoda). Idę śladem wydaptanym w głębokim śniegu. Idzie karawana sprzeciwna, w dół. Na grzbiecie jaka chłopak w bandarach, ledwo widać twarz. Obok dziewczyna ze smutną twarzą. Wszyscy jacyś zmarnowani, poharatani.



Powracająca karawana między Dole a Machermo. Fot. Krzysztof Łoziński.

Tak już jest w górach wysokich. Idziesz sobie w góry, jeszcze czysty i wyspany, a spotykasz ludzi wracających i widzisz jak w górach dostali w dupę. Poranieni, pokaleczeni, obszarpani, z twarzami spalonymi słońcem lub odmrożonymi. Za miesiąc będziesz taki sam.

Kolejny nocleg Machermo, 4410 m. Tu, nieco w głąb doliny, była nasza baza w 1987 roku, na 4440 m. Był zarąbisty mróz, do - 42 w bazie. Przełom listopada i grudnia. W lodge jest inny chatar. Tamten był wesoły. Opowiadał jak jest w zimie. Mówił: garnek z zupą na ogniu, na dole wrze, na górze zamarza. Nabierasz na łyżkę „soup”, donosisz do ust „ice-cream”. I faktycznie tak było. Obok bazy jeszcze ciurkał strumień wśród oblodzonych kamieni (woda, która płynie, długo nie zamarza, nawet przy dużym mrozie). Napełniałem wiadro wodą, przenosiłem pod namioty, jakieś 10 metrów, i już na powierzchni była cieniutka warstewka lodu.

Teraz nie ma aż takiego mrozu. Najwyżej kilka stopni i świeci słońce. Nazajutrz jestem w Gokyo. Jestem tu pierwszy raz. Fajne miejsce, to już regularna miejscowość. No i już porządna wysokość 4750 m. Na tej wysokości ciśnienie

atmosferyczne stanowi 50 % ciśnienia na poziomie morza. To już jest wysokość, którą się czuje, ale w końcu po to tu jestem.



Gokyo Peak (5357 m) widziany z góry, ze szczytu Machermo Kang (ok. 6200 m). W tle Gyachung Kang (7922 m). Fot.Krzysztof Łoziński.

Urządzą sobie jeden dzień odpoczynku. Następnego dnia wypad na Gokyo Peak. Gdyby nie wysokość, to był by po prostu spacer. Zostawiam plecak i idę na lekko. Różnica wysokości zaledwie 600 metrów, z 4750 na 5357 m. Zupełnie łatwo, ale pierwszy raz w tym roku przekraczam pięć tysięcy metrów. To, że mój wcześniejszy rekord wysokości wynosi 7780 m, nie ma żadnego znaczenia.

Aklimatyzacja się nie utrwała, gdy wracamy na niziny, się cofa, znika. Aklimatyzacja polega w największym skrócie na dwóch rzeczach. Gdy organizm ma za mało tlenu, wytwarza więcej krwinek czerwonych, które transportują tlen. Druga sprawa to wytównanie ciśnień. Każda komórka naszego ciała ma swoje wewnętrzne ciśnienie, a ciśnienie atmosferyczne na zewnątrz zmalało. To grozi różnymi nieprzyjemnymi efektami, z obrzękiem mózgu, a nawet wylewem krwi, włącznie. A więc organizm musi mieć czas na stopniowe przystosowanie.



Widok z Gokyo Peak (5357 m) na lodowiec Ngozungma i jezioro Gokyo. Szczyty Cholatse (6440 m) i Tawatse (6542 m). Z prawej w głębi Kantenga (6799 m). Fot. Zbigniew Kacuga.

Następnego dnia wyruszam przez przełęcz Cho La (5420 m) w stronę Tukla w dolinie lodowca Khumbu. Od razu widać, że zaczynam chwytać aklimatyzację. Mimo, że odcinek jest dłuższy od poprzednich i jest nawet o sto metrów wyżej, że idę z solidnym plecakiem (trekery chodzą z tragarzami), pokonuje trasę w około osiem godzin. I nawet nie jestem specjalnie zmęczony. Nocuję we własnym namiocie. Muszę oszczędzać, bo tu w rejonie Everestu ceny wszystkiego wariują.

W następnych dniach odwiedzam jeszcze Everest Base Camp na 5300 m i Kala Patar (Kala Pather), takie piarżyste wzgórze, które na mapach opisane jest na 5550 m, ale według najnowszych pomiarów (wówczas ich nie znałem) ma 5643 m.

Tu uwaga. To są rozmiary Himalajów. Szczyt o wysokości zbliżonej do Elbrusa w Kaukazie, w Himalajach nazywamy „piarżystym wzgórzem”.



Fot. Piotr Juszcak.

W Bazie pod Everestem zastałem tłum ludzi, ale nikogo tu nie znam. Płacę się trochę bez sensu między namiotami. Przez chwilę mam pomysł, by przejść przez Icefall, czyli lodospad Khumbu, i wrócić, ale szybko orientuję się, że to niemożliwe. Tu nawet kamienie pachną dolarami. Za dużo różnych firm i zbyt wielu Szerpów zarabia na turystach, których za uszy i za dupę, a przede wszystkim za olbrzymie pieniądze wciągają na Everest. Oni wszyscy nawet by mnie pobili, gdybym gdzieś łaził nie płacąc. A szkoda, bo miałbym szansę wejść na sześć tysięcy. Przy okazji upada z góry mój romantyczny (ale mało realny) pomysł, by zakończyć 50 lat uprawiania alpinizmu, przypadające na 2010 rok, solowym wejściem na Everest południową ścianą, drogą Bordmana. Przeszkodą, większą niż wysokość i trudności, są pieniądze. Nie mam dziesiątek tysięcy dolarów na pozwolenie, a cichcem, milczkiem, się nie da. Trudno, zrestą pewnie i tak nie dałbym rady. A swoją drogą to szkoda. Jak bym pięknie zagrał na nosie tym wszystkim zarządcom, od klubu po PZA, które przez lata blokowały mi dostęp do wypraw (dałem radę, wyprawę organizowałem sam, bez łaski).

Wracam do Namcze, tym razem najkrótszą drogą, bez bocznych wycieczek, przez Pheriche. Kiedyś miałem takie nierealne marzenie, by mieć dom w Pheriche,

bo widok z tego miejsca, ta panorama Himalajów, jest po prostu zajebista (cenzorze nie poprawiaj, to najbardziej adekatne słowo).



Od lewej: Changtse (7553 m), Everest (inaczej Sagarmatha 8850 m), w głębi Lhotse (8511 m) i Nuptse (7879 m). W dole Everest Base Camp nawysokości ok. 5300 m. fot. Piotr Juszcak.

### **No to do roboty**

Wygodny nocleg w Namche Bazaar i dzień odpoczynku. Byłem już trzy razy w okolicach 5500 m. Uważam, że aklimatyzację mam wystarczającą. Najczęściej wyprawy aklimatyzują się na tej górze, którą zdobywają. Zakładają kolejne obozy, co raz to wyżej, nocują w nich i schodzą, aż w końcu robią atak szczytowy, w którym biorą udział dwie, czy trzy, osoby.

Ale to jest ciężki styl oblężniczy, a mnie chodzi o styl zupełnie inny. To ma być nowoczesne przejście, solo i jednym uderzeniem do końca. Tak sobie wymyśliłem. Stad osobliwy styl mojej aklimatyzacji.

Idę do Thami i przechodzę przez most na Bhote Cosi. W Thami teoretycznie jest check post i teoretycznie, sprawdzają trekking permit, ale to, lipa. Wielu alpinistów przechodzi tędy pod lodospady w kanionie Bhote Cosi. To są trzy wielkie kilkusetmetrowe lodospady opisywane jako „ice climbing in Kongderi”, ale naprawdę są one w ścianie kanionu rzeki, a nie na Kongderi.

Wchodzę na tzw. płaskowyż Kongderi, który jest w rzeczywistości podstawą ściany. Oddalam się nieco od ścieżki i rozbijam namiot w takim miejscu,



bym go widział z góry, ale by nie był widoczny z dołu. Wolę, by podczas mojej nieobecności się komuś nie przydał.



Znów stoję przed Kongderi. Jet już więcej śniegu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Mój filar nie opada z głównego wierzchołka, tylko z niższego, 6093 m, opisywanego jako Kongde Shar, albo Tartikha. Jest on o niecałe sto metrów niższy od wierzchołka głównego Kongde Lho. Kłopot w tym, że przełęcz w grani obniża się o ok. 200 metrów. Aby wejść na główny wierzchołek, musiałbym ok. 200 metrów zejść, przejść kilkaset metrów granią i wejść 300 metrów na szczyt. Ambitny pomysł, ale niebezpieczny. W zejściu musiałbym podejść z powrotem 200 metrów do góry. Przy bardzo dużym zmęczeniu wszelkie dodatkowe podejścia, nawet zupełnie łatwe, mogą źle się skończyć. Postanawiam, że zdecyduję, jak tam będę, ale trochę nie podoba mi się polska tradycja wycofów 200 metrów od szczytu. No dobra, zobaczymy na miejscu.

Rano przygotowuję sprzęt do wyjścia. Oprócz uprząży, liny, „haczywa” wszelkiego, biorę palnik Husha z najmniejszą butlą, duży blaszany kubek (zamiast menażki), kurtkę puchową, i płachtę NRC. Żarcie to 4 tabliczki czekolady, kostki cukru i dwie zupki jum-jum (w Nepalu nazywają się Rara Sup – dobra zupa). Człowiek może dość długo nie jeść, ale nie może nie pić. W Tatrach bierze się kanisterek z wodą, a w Himalajach palnik. Woda jest ze śniegu. No i oczywiście zapalki. Zastanawiam się, ile wziąć baterii do czołówki. W końcu biorę dwie.

Tu małe wyjaśnienie. Udało mi się kupić w Katmandu czołówkę z ledową żarówką. To nowość. W Polsce jeszcze takich nie było. Były halogenowe, dobrze świecące, ale żrące prąd.

Z żalem odkładałem aparat fotograficzny, lustrzanekę Canon na klisze. Tak, tak, nie było jeszcze w powszechnym użyciu fotografii cyfrowej. Była już, ale o słabej rozdzielczości i większość fotografików miała do niej nieufne podejście. Ja też jej wtedy jeszcze nie uznawałem. Ten Canon nie był wprawdzie bardzo ciężki, ale ciężki był obiektyw. A dla mnie liczy się każdy gram.

Był też drugi powód rezygnacji z aparatu – czas. Przy tak wielkiej drodze, zatrzymywanie się na robienie zdjęć zżera czas. Nie mogę sobie na to pozwolić. Z bólem, bo jestem pasjonatem fotografii. Jeden z kolegów zapytał mnie później, czemu nie robiłem zdjęć telefonem. Czym? Nokią z klawiszami? Ludzie kochani, wtedy jeszcze nie było smartfonów, a telefonu w ogóle nie wziętem, bo po co. Przecież tam nie było żadnego zasięgu, a i w Nepalu nie miałbym do kogo dzwonić.

Tu pewna dygresja, jak bardzo zmienił się świat w ostatnim czasie.

## **Marcin**

Na moich wyprawach, na których byłem i najczęściej nimi kierowałem, nie było żadnych środków łączności. Gdy alpinista wychodził z bazy, to dokąd nie wrócił, nie było wiadomo, co się z nim dzieje. Na wielkich wyprawach, organizowanych przez PZA, były radiotelefony „Klimki”, które wytwarzał inż. Nietyksza, wielkie, ciężkie, ważące 1,5 kilograma. Lepszy sprzęt pojawił się dopiero później. A w 2021 roku już rozmawiałem na Messengerze z człowiekiem znajdującym się w ścianie Lhotse w drodze na Everest.

Marcina znam tylko z Facebooka i Messengera. Nigdy się nie widzieliśmy, zresztą mieszkamy w różnych krajach. Marcin dostał mój numer telefonu od wspólnego znajomego. Zadzwonił do mnie w sierpniu 2021 roku. Rozmawialiśmy prawie godzinę. Marcin wybierał się na płatną wyprawę na Everest drogą Hilarego i Tenzinga. Zapłacił za to gigantyczne pieniądze. Pytałem jakie ma doświadczenie górskie. Pracował na pracach wysokościowych i był na Mont Blanc Czyli na 4808 m. Moim zdaniem to nazywa się brak doświadczenia. Szczyt Mont Blanc jest o 500 metrów niżej niż baza pod Everestem. Udzieliłem mu wszelkich rad, jakie mogłem, ale nie da się kogoś nauczyć alpinizmu przez telefon.

Marcin odezwał się ponownie 14 listopada 2021 r.

- Witam, jestem na Lhotse.

(to znaczy w obozie trzecim, około 7500 m)

- W ścianie Lhotse, nad Western Cown? – pytam.

- Tak.

....

- Zimno jak cholera. (15 listopada)
- Normal. (ja)
- Na razie z namiotu nie wychodzę.

...

- Mam chorobę wysokościową. Szerpowie mówią, żebym zastrzyk wziął na rozcieńczenie krwi.

- To bierz. Oni wiedzą, co mówią. Jak będzie źle, to szybko w dół. (ja)
- Panie Krzysztofie ze mną jest źle.
- To szybko w dół. I tlen.
- Ja nie chcę. (Marcin)

- Jeżeli masz objawy choroby wysokościowej, to na pewno nie możesz iść do góry. Zwłaszcza, że do szczytu masz ponad tysiąc metrów wysokości. Jakie masz objawy choroby wysokościowej? Można zejść do jedyńki i za dwa dni wrócić do trójki, jeżeli objawy ustąpią. Czy macie tam lekarza, z którym możesz skonsultować się przez radio?

- Schodzę, bo to nie ma sensu.
- Słusznie. Życie jest jedno. (ja)
- Tak jest.

Na drugi dzień, 16 listopada.

- Marcin, gdzie jesteś?

- Panie Krzysztofie, jestem w obozie drugim. Odpocznę trochę i będę schodził dalej.

- OK.

18 listopada.

- Witam Panie Krzysztofie, jestem już w obozie bazowym Base Camp.
- Cieszę się. Mam pytanie: czy ktoś ci pomagał w zejściu, ubezpieczał?
- Tak dwóch Szerpów.
- OK.

I wreszcie 20 listopada:

- Witam Panie Krzysztofie, dzisiaj będę szedł z Gorak Shep do Pheriche...

W tym momencie wiedziałem, że jest już bezpieczny. Przygoda Marcina dobrze się skończyła. Stracił pieniądze, ale ocalił życie. Życie jest jedno, a pieniądze rzecz nabyta i nietrwała.

Nie chciałem go nadmiernie straszyć, ale pod szczytem Everestu leży już w lodzie około 300 zamrożonych ciał. Jest nawet taki punkt orientacyjny: zielone buty. Te buty są na czyichś nogach.

Z jednej strony to niezwykle, rozmawiać z kimś przez komórkę z Everestu. Wtedy, gdy wyruszałem na Kongderi, aby zadzwonić do Polski z Katmandu, trzeba było iść na pocztę.

Ale jest i refleksja. Z górami, zwłaszcza z takimi jak Himalaje, nie ma żartów. To stado żarłocznych na forszę rekinów w Everest Base Camp widzi w klientach tylko ich portfele i wcale ich nie martwi, że co roku zostaje w lodzie kilka nowych trupów.

Wracajmy na Kongderi, dwadzieścia lat wcześniej.

## Idę

Moje szaleństwo jest dokładnie przemyślane. Poświęciłem na analizy wiele godzin. Mój filar i cała droga ma 2200 metrów przewyższenia i ponad 3500 metrów długości. To tak, jakby jednym ciągiem przejść trzy razy Flar Mięgusza i to na dużej wysokości. Ja wiem, że Tomo Cesen robił większe rzeczy (Janu, Lhotse), ale ja jestem ja i dla mnie to duże wyzwanie.

Mój filar rozdwa się na wysokości (według mapy) ok 4800 metrów. Prawa odnoga podcięta jest około 200 metrową stromą ścianą czołową. Lewa w tym miejscu idzie jakby poziomą odnogą i skręca w dół długim niezbyt stromym grzbietem. Wybieram wariant lewy.

Postanawiam wyruszyć wieczorem. A cóż to za nowe wariactwo? Wręcz przeciwnie, racjonalny wybór. Nie ma żadnych szans, bym tak długą drogę przeszedł jednym ciągiem za dnia. Filar zaczyna się łagodnie, a w miarę wysokości robi się coraz stromiej. Skoro i tak będę musiał wspinać się po ciemku, to lepiej po ciemku robić partie łatwiejsze i na niższej wysokości.

Wyruszam około 18-tej. Plecak jest dosyć ciężki, jak na wspinanie, ale plan mam taki, by stopniowo zostawiać część rzeczy, które dalej nie będą już potrzebne.

Jest sypki, niedawno spadły śnieg. Na razie idzie się fatalnie, przez śnieg po kamieniach, ale czym wyżej, tym lepiej. Spada temperatura i śnieg powoli twardnieje. Jest w końcu listopad.

Specyfiką gór wysokich jest to, że z daleka nie widzimy drobnych szczegółów, a mogą być one nawet poważnym problemem. Pamiętam z Hindukuszu taką sytuację, że z dołu było widać taką kreskę w poprzek lodowca na Koh-e Tez. Ta kreska powstała nagle, ale co tam? Kreska to kreska. Niestety przy bliższym poznaniu okazała się potężną szczeliną, której górna krawędź była kilkanaście metrów wyżej, niż dolna. Ot taka pionowa ściana lodu.

Tu też mam jakieś spore głązy, prożki, uskoczki. W skali tak ogromnej formacji z dołu tego nie widać, a to zmusza do lawirowania. Nie jest to marsz po gładkim zboczu, jak w Tatrach Zachodnich. Raczej coś w rodzaju grzędy na Mięguszu, tylko dużo większe.

Znad grani po drugiej stronie doliny wschodzi księżyc prawie w pełni. Tego nie planowałem. Przyroda pomaga mi sama. Mogę oszczędzać latarkę. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że latarka ledowa na jednej baterii R6 może świecić przez wiele godzin.

Dochodzę do końca grzędy i skręcam w prawo do głównego filara. Docieram do niego o drugiej w nocy. Przeszedłem 800 metrów różnicy wysokości i 400 metrów trawersu w osiem godzin. Całkiem przyzwoity czas. Jestem na 4800 m. Komuś, kto nie chodził po górach, może wydawać się, że przejść półtora kilometra w osiem godzin to strasznie wolno. Owszem, w Warszawie na Marszałkowskiej to by było bardzo wolno, ale nie w górach, z plecakiem blisko 10 kg, nie na blisko pięciu tysiącach, po skałach, piargach, progach, w dodatku pokrytych śniegiem. Teraz ten śnieg jest już twardy, jest i lód. Zatrzymuję się na takim kilkudziesięciometrowym wzniesieniu w filarze.

Wyciągam palnik i gotuję wodę ze śniegu. Zjadam czekoladę, zupkę jum-jum i wypijam dwa kubki wody z cukrem. Zajmuje mi to ponad godzinę. Najwięcej topienie śniegu na wodę. Parę lat później jeden z kolegów zapytał mnie, czemu nie wziąłem butelki z wodą. Bo to bez sensu. Na tej wysokości jest mróz. Może nie duży, ale mróz. Woda by mi zamarzała.

Pakuję graty i ruszam w górę. Jest trzecia trzydzieści. Księżyc zaszedł za granią Kongderi. Teren robi się coraz stromszy i jest coraz więcej lodu. O szóstej rano, dwanaście godzin od wyjścia, jestem na jakieś 5200. Robi się stromo, to już zaczyna być regularna wspinaczka, a nie tylko podejście. Zakładam uprząż, wpinam do niej haki, friendy, kostki. W rakach i z czekaniem idę od początku. Dochodzi do tego czekanomłotek, na razie w olstrach. Plecak jest już znacznie lżejszy, bo część ciężaru mam wpiętą do uprząży. Ten filar zaczyna się łagodnie, ale czym wyżej, tym stromiej i czym wyżej, tym trudniej. Na razie trudności techniczne są niewielkie, ale nieco zaczynam czuć wysokość.

Jest już jasno, gdy zaczyna się wspinaczka na serio. Łatwa, ale wymagając kombinowania i wybierania drogi. Tym, którzy nigdy nie byli w Himalajach, wyjaśnię, że na tak wielkiej formacji, jak ponad dwukilometrowej wysokości filar, można iść równie dobrze dwadzieścia metrów w prawo, lub w lewo, i jest się ciągle na tej samej drodze. A wybór trasy ma konsekwencje. Można, jak to się mówi w środowisku taternickim „zapchać się”, to znaczy wleźć w jakieś niespodziewanie trudne miejsce, które można było ominąć. To między innymi dlatego chciałem być tu, gdzie są największe trudności za dnia. Na razie trudności są rzędu II-III, ale wyżej teren staje dęba.

W dobrze widocznym miejscu zostawiam część sprzętu. Znowu zagotowałem wodę i wypiję kubek wody z cukrem. No i poszła druga czekolada. Zostawiam kubek, palnik, jedną zupkę i jedną czekoladę. W plecaku ma właściwie tylko kurtkę puchową, NRC-tkę, linę i śruby lodowe (wydaje się, że nie będą potrzebne, ale...).

Jest dziesiąta rano. Wspinam się już 16 godzin. Zaczynam być troszeczkę zmęczony, ale jeszcze w normie. Ogólnie dobrze się czuję. Jestem na 5500 m. Mam 600 metrów do szczytu Kongde Shar, takie dwie Świnice ze szczytem na 6093 m.

Jest coraz stromiej i wspinam się coraz wolniej. Jest coraz trudniej i coraz bardziej czuję wysokość. Staram się iść w miarę równym tempem, ale przytrzymują mnie trudniejsze miejsca. Trudności nie są jednak tak duże, bym musiał się asekurować. Nadal idę „na żywca”. Wycena trudności w takich warunkach jest mocno niepewna. Oceniam miejscami na IV-V. w ocenie trudności technicznych nie ma jakiś precyzyjnych reguł. To sprawa odczucia człowieka, a w górach wysokich to bardzo zależy od odczuwania wysokości i zmęczenia. Poza tym, jak już pisałem, na tak dużej formacji można iść 20 metrów w prawo lub lewo i napotkać trudności zupełnie inne.

Na szycie jestem o 19-tej, 25 godzin od wyjścia. Jestem już potężnie zmęczony. Przez 25 godzin wszedłem na 2100 metrów wyżej, na 6093 m, drogą o długości ok. 3,5 kilometra, i to nie ścieżką w Lesie Kabackim. Jest już ciemno.

Patrzę na główny szczyt Kongderi, 6187 m. Grań jest „jak cię mogę”, ale trzeba na przełęcz zejść i na szczyt wejść. W drodze powrotnej trzeba by podejść pod górę jakieś 200 metrów. To kolejne kilka godzin, kolejne zmęczenie i podejście w drodze powrotnej. Takie podejście w zejściu to perfidna pułapka. Przy dużym zmęczeniu można nie dać rady. Poza tym takie przejście w tę i z powrotem może zająć kolejne 6 -7 godzin.

Prawda gór wysokich jest taka, że nie sztuka na górę wejść, sztuka z niej zejść. Zejście może być trudniejsze od wejścia, bo człowiek jest coraz bardziej zmęczony. Przy ogromnym zmęczeniu, wyziębieniu i wysokości można nie móc przejść przez kamień, przez który na Mazurach by się przeskoczyło.

Rezygnuję z wejścia na wierzchołek główny. Na podstawie tego, co się działo później, wiem, że postąpiłem słusznie.

## **W dół!**

Zjadam czekoladę i kilka kostek cukru. Koszmarnie chce mi się pić, ale nie mam palnika, został niżej. No i robi się całkiem ciemno. Jest listopad, w Polsce byłoby całkiem ciemno już dawno, ale na szerokości geograficznej Nepalu różnice długości dnia i nocy, w lecie i zimie, są dużo mniejsze.

Czekan w garść i zaczynam zejście. Daleko nie uszedłem. Dalej trzeba zjeżdżać. Wbijam pierwszy hak i zawieszam linę do zjazdu. Moja lina jest niestety jednokolorowa, nie jest jak lina podciągowa do połowy czerwona, dalej niebieska. Na szczęście pomyślałem zawczasu i oznaczyłem połowę liny. O ile ten sznurek można nazwać liną. Mam też własnej konstrukcji przyrząd do zjazdu, który

prowadzi obie żyły liny oddzielnie, tak że się nie skręcają. Nie mogę tracić czasu i sił na rozplątywanie liny.

Zjeżdżam po 50 metrów. Osiem zjazdów. Kolejne cztery to właściwie schodzę z pomocą liny zjazdowej. Wreszcie jest na tyle łagodniej, że można normalnie schodzić, choć łatwo nie jest.

Jest pierwsza w nocy. Docieram do mojego składziku. Jestem koszmarnie zmęczony. Odpalam palnik i gotuję kolejne kubki wody. Później gotuję jum-juma. Zupka, trzy kubki ciepłej wody z cukrem i ostatnia czekolada. Trochę odżyłem, ale dla odmiany chce mi się spać.

Pokusa tego, by trochę się zdrzemnąć jest silna, ale zbyt wiele lat chodzę po górach, bym nie wiedział, że z takiej drzemki można się już nie obudzić. Jest mróz, wysokość rzędu 5,5 tysiąca. Jestem bardzo wycieńczony, niedożywiony. Co innego, gdybym miał namiot, karimat, śpiwór i jedzenie. Można by spać nawet do jutra. Ale ja jestem wychłodzony, przez półtorej doby zjadłem dwa jum-jumy, cztery czekolady i piłem wodę z cukrem. Przy ogromnym wysiłku. A mam tylko kurtkę puchową i NRC, jest wysokość i spory mróz. Nie wiem, ile jest mrozu, ale mało nie jest. Czuję to przy każdym oddechu. Na wąsach i brodzie mam grudki lodu.

O 2.40 ruszam dalej w dół. Teren jest łatwiejszy, ale to nie ścieżka. Coś jakby schodzić na żywca Filarem Świnicy. Świt wita mnie mgłą. To nowy kłopot. Muszę uważać, by nie minąć rozwidlenia filara. Prawa odnoga, patrząc z góry lewa, jest podcięta pionową ścianą. Nie da się tamtędy zejść.

Zaczynają łąpać mnie skurcze w nogach. Nie ułatwia to zejścia. Plecak wydaje się strasznie ciężki.

I wtedy we mgle go zobaczyłem. Idzie przede mną, macha mi ręką... Kurwa! Nikogo nie ma! Patrzę uważnie, nie ma. To mgła płata figle. ... Ale, znów go widzę. Całkiem wyraźnie. Mam halucynacje.

Swoją drogą ciekawe zjawisko. Człowiek widzi rzeczy, których nie ma i wie, że to są halucynacje, wie, że tego nie ma. Wiele lat temu poszedłem z Miśką, która jeszcze nie była moją żoną, na grań tatr Polskich w zimie. Już prawie byliśmy w ogródku i witaliśmy się z gąską. Zaczęliśmy chodzić ze Starorobociańskiego w stronę Wołowca. Jeszcze 3-4 godziny i Przełęcz Bobrowiecka, i w dół do schroniska. I wtedy zaczął się halny wiatr. Pominę szczegóły, opisałem to w książce „Ślady na śniegu”. W sumie zostaliśmy na trzy dni uwięzieni na grani. Na trzeci dzień oboje, wygodniali i wyziębieni zaczęliśmy mieć halucynacje. Widzieliśmy nieistniejących ludzi, wołaliśmy do nich. Słyszałem grające radio, piejącego koguta. Widziałem dzieci zjeżdżające na sankach. I tak, jak teraz, miałem świadomość, że to są zwidy, ale były tak cholernie realne.

Dochodzę do rozwidlenia filara i skręcam w trawers. Wiem, że jestem już na dobrej drodze. Zostawiam prawie cały sprzęt. Czort z nim. Mam już tylko czekan, raki i prawie pusty plecak. W nim kurtkę, panik, latarkę i chyba nic więcej. Leżę jak

kaleka. Skurcze, zwidy, koszmarna zmęczenie. Rozmawiam z Hanią Brzeską, słyszę muzykę. Hania Brzeska to koleżanka z pierwszego roku fizyki na UW. Nie widziałem jej 30 lat, ale teraz na filarze Kongderi z nią rozmawiam i wiem, że to zwidy. Ten facet też do mnie mówi, ale jest jakiś inny. Kurwa człowieku, to halucynacje, weź się w garść, bo umrzesz!

I jeszcze te skurcze. Nogi jak z drewna. Wychodzę z chmur. Jeszcze jakieś 300 metrów. Widzę charakterystyczny kamień, ale nie widzę pod nim namiotu. No tak, przecież wychodząc sam go zwinąłem i schowałem. No i jestem. Koniec.

Jest wieczór. Wejście i zejście zajęło mi prawie dwie doby.

### **Wracam do żywych**

Rozbijam namiot i do śpiwiora. Zjadam czekoladę i konserwę. Zasypiam. Budzę się dopiero rano. Wszystko mnie boli. Swędzi mnie nos i rozmyślam czy mam siłę się podrapać. Przeszał swędzieć, to dobrze, nie muszę się ruszać. Koło południa obracam się na boki i eksplozja skurczy. Jaką pozycję bym nie przyjął, to tylko mam skurcz gdzie indziej. Mimo to ruszam się. Gotuję, jem, piję gorące soki (z papierka). Jestem ciągle na czterech tysiącach. Herbata się tu nie parzy. Woda wrze, a piórka z herbaty pływają po wierzchu.

Na drugi dzień zwijam majdan i człapię do Namche. Nareszcie śpię w łóżku, chociaż w śpiworze. Nareszcie jem w restauracji, jak człowiek. Kupiłem sobie nawet butelkę piwa, choć jest to najdroższe piwo świata. Trudno się dziwić. Niemal całe zaopatrzenie przychodzi tu na grzbietach jaków i na plecach tragarzy.

Jem obiad i na salę wchodzi Polacy. Nie znam ich. To dużo młodsze pokolenie. Z tego, co słyszę, wnioskuję, że byli na Island Peak. Odzywam się po polsku i zaczynamy rozmawiać. Opowiadam w wielkim skrócie o moim przejściu.

- No ale na szczycie nie byłeś.
- Byłem na niższym wierzchołku, to właściwie też góra.
- A ile dni to robiłeś?
- 25 godzin.

Zapada cisza. A po chwili:

- No wiesz, ale to nie było jednodniowe...

Znów Lukla i szaleńczy lot Cesną. Nie dla ludzi o słabych nerwach. Z Katmandu wracam tym razem dołem. Autobus do Sonauli i Gorakpur, pociąg do Delhi i lot do Warszawy.

Wróciłem do Polski. Wysłałem notatkę do Tatarnika. Nie ukazała się.





Start samolotu z Lukli, z czasów, gdy pas był jeszcze trawiasty. Fot. Zbigniew Kacuga.

Do dziś nie wiem, czy zrobiłem pierwsze przejście, czy powtórzenie drogi już pokonanej. Nie wiem nawet, w jaki sposób wyprawa Nepalska Kumara Bikram zdobyła Kongderi Shar. Może właśnie tak? Opisu nigdzie nie znalazłem.

Krótko po powrocie zadzwonił do mnie Piotr Rachtan. Mówi, że zakładamy gazetę internetową dla dziennikarzy, którzy nie mają gdzie publikować. Zostaję jednym z założycieli. Pozostali to Piotr Rachtan, Andrzej Pawluczuk i Stefan Bratkowski. Więc mam już gdzie pisać. Gazeta nazywała się „Kontrateksty”. Zostałem redaktorem naczelnym na 12 lat. Powoli zaczynam odbudowywać normalne życie. Nieco później dostaję emeryturę specjalną od premiera Donalda Tuska. Nie są to kokosy, ale jest stały dochód. Nie jestem już sam, mam gdzie mieszkać. Wyszedłem z życiowego dołka.

A morał jest taki: gdy wdepniesz w dołek to zdobądź górę. Niekoniecznie taką samą. Przecież każdy ma do zdobycia jakąś górę.

Do zilustrowania tekstu użyłem (za ich zgodą) zdjęcia kolegów: Piotra Juszcaka i Zbigniewa Kacugi (lepszej jakości niż moje). No i oczywiście moje własne.